Rocznik III. Kraków 1-go sierpnia 1911. (Półrocze II-gie) Nr. 2.

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce
wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA" wynosi w Austryi na **rok: 4** korony — na **pół roku: 2** korony. — Do Niemiec na rok: **5** kor. — półrocznie **2** kor. **50** hal. — Do Ameryki rocznie **1** dolar.

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA" w Krakowie ul. Powiśle 12.

Kościół — a lud.

Na puszczy Betsaidzkiej, koło jeziora Genezaret otoczyła razu pewnego Chrystusa kilkotysięczna rzesza. Przez trzy dni lud słuchał słowa Bożego. Zapasy żywności już wyszły. W braku pokarmu z trudem wróciliby do domów, z niedostatku sił ustaną w drodze.

»Żal mi tego ludu« rzekł Chrystus! A nietylko słowem okazał współczucie, lecz wszechmocą swoją sam zaradził biedzie; cudownie bowiem chleb pomnożył i głodnych nasycił; nietylko pokarmem duchownym zasilił, ale i cielesnym potrzebom zaradził

I Kościół św. nietylko słowem przez usta swoich kapłanów, lecz i dziełami swemi naśladuje Boskiego Założyciela. Kościół nauczający pobudował wspaniałe świątynie, abyśmy u stóp Chrystusa mogli wylewać potrzeby i smutki nasze. Kościół fundował szpitale, aby chorzy i opuszczeni mieli przytułek i opiekę; aby w starości i w kalectwie mieli strawę i kąt ciepły. Kościół otworzył ochronki dla sierót i opuszczonych dzieci, aby w zastępstwie rodziców wychować je na pożytek społeczeństwa; Kościół bogatszych do miłosierdzia zachęca. Kościół w czasach klęsk publicznych pozbawiał nawet świątynie złota i srebra, aby nieść pomoc potrzebującym.

Błądziłby ten, coby dowodził, że religia dotyczy tylko potrzeb duszy, a o potrzebach doczesnych nie myśli.

Religia i dobrobyt — mówią obłudni opiekunowie ludu — nie mają nic wspólnego; owszem religia katolicka zabrania nawet starać się o dostatki ziemskie, boć księża często głoszą, żeby się zdać we wszystkiem na Opatrzność Boską.

Jakto? A sprawiedliwość, którą przepisuje religia, a której broni zawsze Kościół, czy nie wpływa na poprawę bytu biedniejszych? Czy ta sama sprawiedliwość, która być powinna »fundamentem państw«, nie wymaga, aby każda narodowość, każdy stan miał swoje prawa zastosowane do swego usposobienia i potrzeb?

W życiu publicznem bezprawiem byłoby pozbawiać naród tego, co jest najdroższem dla niego skarbem — mowy rodzinnej, wychowania ojczystego, rządzenia się sobą.

Któż nie wie, że Bóg, Kościół, rozum i serce — skłaniają człowieka do miłości swojej ziemi, współobywateli, języka, historyi i pamiątek ojczystych.

Podobnież w życiu ekonomicznem, podług pojęć katolickich, nie można się rządzić tylko »wolną konkurencyą«.

Jak bogaty ma prawo do życia z procentu od swego kapitału, ta krobotnikowi, rzemieślnikowi i rolnikowi należy oddać prawo do pracy i utrzymania odpowiedniego ludzkiej godności.

Oklepany to koncept masoński, jakoby Kościół katolicki dawał robotnikom i biednym wyrobnikom tylko »asygnacye na życie przyszłe, a o teraźniejsze nie dbał«.

Prawda, że Kościół, jak i sam Chrystus, zastrzega, że najważniejszą sprawą to dobro duszy: bo co pomoże człowiekowi, choćby cały świat zyskał, a na duszy stratę poniósł?

Głównym bowiem obowiązkiem człowieka to wypełnianie prawa Bożego, staranie się o pokarm dla duszy: »jeśli chcesz wnijść do żywota, chowaj przykazania«. Ale Kościół podaje też środki, którymi zapewnić można i właściwy dobrobyt tu na ziemi.

Ani ewangelia Chrystusa, ani Kościół katolicki, ani kapłani katoliccy nie stają w obronie wyzysku, lichwy i tyranii, jak okłamują lud niektórzy oświeciciele.

Nie żąda Kościół koniecznie przywrócenia patryarchalnych czasów, kiedy to wszyscy zajmowali się uprawą roli albo pasterstwem. Ale żądać musi, i to Papieże w swoich listach oświadczają, aby robotnik z rodziną swoją w teraźniejszych warunkach miał byt taki, jaki przystało na istotę ludzką, aby mógł prowadzić życie przyzwoite i korzystać odpowiednio do pracy ze zdobyczy ogólnej cywilizacyi i oświaty.

Na to potrzeba przedewszystkiem, aby robotnikowi dana była możność porządnego chrześcijańskiego życia rodzinnego. Dlatego pożądaną jest rzeczą, aby rodzina otrzymała żonę i matkę.

Jak to rozumieć? Oto tak. Choć zupełne usunięcie kobiet i dziewcząt od roboty w fabrykach i na folwarkach podobno nigdy już nie da się przeprowadzić, jednak otoczyć je wypada większą troskliwością; zmniejszyć n. p. można czas pracy, zapewniając im możność przebywania więcej z rodziną. Wszelkie ochronki, ogródki, przytułki, choć piękne w naszych warunkach oddają usługi, nie zastąpią nigdy pieczołowitości matczynej.

Przy małem wynagrodzeniu cała rodzina pracujących źle się odżywia; niezdrowe zajmuje mieszkanie lub po kilkoro w jednej izbie.

I jakie nie raz bywają stosunki. Mąż i żona wcześnie rano wychodzą do fabryki lub na pole; wieczorem wracają znużeni do domu, gdzie wszystko zastają w nieładzie.

Izba brudna, chłodna, jedzenie przyprawia się naprędce, a więc niestrawne. Dzieci jeżeli nie były w ochronie, zamorusane, obdarte.

Nie dziwmy się, że robotnik fabryczny czy folwarczny czuje się jakoś nie swój w mieszkaniu, szuka rozrywki poza domem. Pociąg do wódki, dla rozweselenia się w trudnem położeniu sprowadza większą nędzę. Stąd niepokój, trwoga o przyszłość, głód w czasie choroby lub starości.

A wtedy?... Żal tego ludu.

Do szczęśliwego pożycia rodzinnego potrzebne jest odpowiednie ile możności dogodne mieszkanie.

Sam wzgląd moralny przemawia za tem, aby nie w jednej izbie człowiek się rodził, spał, jadał, chorował i umierał. Patrzymy na to ze smutkiem po wielu folwarkach i fabrykach.

Czy długo tak jeszcze potrwa, nie wiemy.

To tylko możemy powiedzieć, że odciągnęłoby niejednego od pokus socyalistycznych, gdyby miał jaki taki kąt swój, choć dwie izdebki i odpowiednie utrzymanie. Nie stawianoby nadzwyczajnych żądań, niemożebnych do wykonania, gdyby choć najkonieczniejsze potrzeby były wpierw dobrowolnie zaspokojone.

Prawda, że dziś stosunki pod niejednym względem się polepszyły, ale to prawda, że każde niemal z ustępstw zostało wprowadzone z przymusu prawa państwowego albo z obawy zaburzeń robotniczych.

Nie czekajmy, aż gwałt nastąpi, lecz z dobrej woli przedsiębrać należy reformy praktyczne.

Proletaryusze — pracujący nie pragnęliby pewno obalać porządku istniejącego, gdy się przekonali, że stany wyższe podają im dłoń pomocną i że mogą bez gwałtów stopniowo dolę swą polepszyć.

Powtórzymy tu za Biskupem Kettelerem: »Spróbujmy, ale wszyscy bez wyjątku przez jeden tylko tydzień żyć ściśle według nauki Chrystusa, a temsamem rozwiążemy trudną kwestyę socyalną«, to jest wzajemny stosunek między różnemi klasami ludzi

Chrystus, który niegdyś na rzeszę patrząc, mówił »Żal mi tego ludu«, pobłogosławi nam wtedy w naszych zamiarach i pracach.

Z podróży po Ameryce.

(Opowiadanie ks. M. P.).

Emigracya.

Jadąc do Ameryki na wielkim niemieckim okręcie »Kronprinzessin Cecilie«, widziałem, że wraz ze mną płynie paręset emigrantów, z których blisko stu było Pola-

ków i Litwinów. Wylądowawszy (16-go sierpnia 1910 r.) w Nowym Jorku, udałem się zaraz do polskiego Domu emigracyjnego pod wezwaniem świętego Józefa, w nadziei, że tam znajdą się wszyscy emigranci, którzy ze mną odbywali podróż. Lecz jakie było moje zdziwienie, kiedym ich ani tego, ani następnych dni nie zobaczył.

Rektor Domu emigracyjnego, ks. Stanisław Cynalewski, bardzo zasłużony kapłan, kierownik Polskiej Spółki Finansowej, znawca stosunków polskich w Ameryce, objaśnił mię, że wszyscy nowoprzybyli emigranci są zawsze zatrzymywani na jednej z przyległych do miasta wysp, gdzie ich badają urzędnicy Stanów Zjednoczonych. Każdy z emigrantów, wyuczony wpierw przez swych znajomych, tłumaczy, że przyjechał odwiedzić kogoś z bliskich krewnych. Ale biada mu, jeśli pod krzyżowym ogniem zapytań wymknie się mu, że już ma pracę zapewnioną; biada, jeśli posiada umowę o wynagrodzenie za pracę; biada, jeśli okaże się choć trochę chory lub nie wylegitymuje się prawnie o stopniu pokrewieństwa z tym, do kogo przyjeżdża, — bez miłosierdzia wówczas, bez apelacyi, najbliższym okrętem zmuszony jest powracać do Europy. Bywały wypadki, że dla choroby oczu jednego z dzieci całą rodzinę odsyłano do portu europejskiego.

I dlaczegóż to wszystko? Czyż w Ameryce niepotrzebne już ręce do pracy?

Oto dlatego, że coraz więcej stosuje się w praktyce doktryna Monroe'a: »Ameryka dla Amerykanów«, a co za tem idzie — rząd obecny chce zamerykanizować wszystkich swych obywateli. Nie zmierza do tego drogą gwałtów, drogą odbierania mowy ojczystej i religii, ale idzie pośrednio. Emigracya podtrzymuje poczucie każdej narodowości nie amerykańskiej, to też dlatego rząd postanowił prąd emigracyjny ukrócić.

O jakże niebaczni są nasi rodacy, jadący do Ameryki, jak gorzko za to pokutuje wielu, kiedy sprzedawszy cały swój dobytek na podróż, zostają przymusowo odesłani do Europy i znajdując się bez grosza i dobytku cierpią ostatnią nędzę.

A teraz słów parę o emigrantach, którym się uda wylegitymować należycie i stanąć na ziemi amerykańskiej.

Kto ma pieniądze, może zostać bogatym, nie przeczę. Wobec ciążenia Amerykanów do miast, nie trudno kupić farmę z dużym kawałkiem ziemi, nie trudno pracując koło ziemi, ciągnąć z niej bogactwa.

Ale potrzeba mieć pieniądze i pracować ciężko. Przy tych warunkach i u nas można zostać bogatym. Ziemi uprawnej w Ameryce darmo nikt nie daje. Można wprawdzie od rządu dostać za pośrednictwem agentów-żydów i rozmaitych wyzyskiwaczy, w głębi lądu o tysiące mil od portu kawał dzikiego lasu wśród gór i moczarów, ale wykarczowanie lasu, pobudowanie farmy, zaprowadzenie drogi i t. p. trudy pochłoną tyle pracy, że za tę pracę można w kraju kupić stokroć piękniejszą sadybę.

Kto zaś nie chce zająć się karczunkiem, a nie ma pieniędzy na kupno gotowej farmy, musi iść na dzienne zarobki. Nieszczęśliwa jego dola! W Ameryce trzeba pracować dwa razy ciężej, a co najważniejsza — trzeba mieć więcej wykształcenia i kultury, niż nasz ludek wiejski posiada.

Weźmy naprzykład budowanie domu. Czy tam mularze noszą cegłę, kamienie, chłopy podają piasek i cement, tak jak u nas? Gdzie tam. Przy nowobudującym się murze stoją maszyny i windy. Robotnicy pracują przy maszynach i maszynom usługują, a one same kamienie podnoszą i składają, windy dźwigają piasek i wodę, windy oczyszczają ziemię i t. d. Przy takich okolicznościach nie dość jest mieć zdrowe ręce, lecz potrzeba jeszcze mieć mądrą głowę i spryt.

Jeśli zaś kto te przymioty posiada, a co najważniejsza ma z tysiąc koron w szkatule, oprócz wydanych na podróż, ten może w Ameryce zrobić dobry interes.

Radzę w takim razie emigrantom - Polakom i Litwinom, aby, przybywszy do Nowego Jorku, zwracali się najpierw do Domu św. Józefa, znajdującego się na ulicy Broad Street Nr. 117. Tam rektor tego domu, ks. I. Cynalewski, udziela potrzebnych rad i opiekę ma nad emigrantami. Udawszy się tedy, uniknie się wyzysku i oszukaństwa praktykowanego przez ludzi złej woli.

Dom św. Józefa powstał z ofiar założonego w tym celu Towarzystwa Opieki nad emigrantami jeszcze w 1896

roku. Ale najwięcej rozwinął się i wiele dobrego zdziałał, odkąd u steru działalności tego domu stanął wielki miłośnik ludu polskiego i znawca stosunków amerykańskich, niegdyś misyonarz w Patagonii, ks. Stanisław Cynalewski.

O wielkiem mieście, Nowym Jorku, niewiele mogę napisać, bo zbyt krótki pobyt mój nie pozwolił na dokładniejsze poznanie go. Zaznaczyć jednak mogę, że miasto powyższe wraz z przedmieściami ma kilka milionów ludności, że katolików tam jeszcze w roku 1908 było 1,700 000, Polaków zaś 136.200, parafij polskich 10.

Ponieważ Nowy Jork jest największym portem Ameryki Północnej, więc też ruch w nim i handel ogromny. Domy niesłychanie wysokie, zwłaszcza w portowej centralnej części miasta dochodzą do trzydziestu kodygnacyi (pięter). Ruch tramwajów i samochodów jest tak wielki na ulicy, że trudno przejść w poprzek.

Miasto posiada piękny ogród zoologiczny, rozłożony na wielkim obszarze ziemi przedmiejskiej.

Godną uwagi jest olbrzymia statua Wolności, wykonana przez Bartholdy'ego w 1886 roku. Jest to dar Francyi. Statuę umieszczono na wyspie przy wjeździe do portu, a jest tak wielka, że w wydrążeniu ręki bogini, trzymającej wzniesioną latarnię morską, łatwo może przejść człowiek z posągu do latarni. Cudami techniki są trzy mosty, łączące Nowy Jork z Brooklynem, rzucone przez szeroką rzekę Hudson. Pierwszy z nich był zbudowanym w roku 1883.

Parafie polskie.

Jeszcze przed zawarciem pokoju Wersalskiego, mocą którego Stany Zjednoczone po długiej wojnie uznane zostały przez Anglię jako niezależne mocarstwo, więc około 1783 roku zwrócił się Ojciec św. Pius VI. do Franklina z propozycyą mianowania swego wikaryusza Apostolskiego dla katolików w Ameryce. Kongres narodowy, zawiadomiony przez Franklina, odpowiedział, że nie ma prawa wtrącać się do spraw religijnych. A artykuł I. poprawek konstytucyi na mocy V. artykułu głosi: »Kongres nie ma władzy ustanawiać praw względem ustalenia panującej religii«.

Z tego widzimy, że w Stanach Zjednoczonych panuje absolutny rozdział Kościoła od państwa. Charakterystycznem jednak w tym rozdziale jest to, że nie, jak w europejskich państwach, rząd czuje się wyższym od Kościoła, dyktuje mu prawa lub prześladuje jego wyznawców, lecz przeciwnie, czując się niżej od Boga, od religii, od Kościoła, daje mu pełną swobodę.

Katolicyzm dawniej niewielu miał wyznawców w Ameryce. Bardzo dużo było tam purytanów, mormonów i rozmaitych sekt, w niektórych nawet stanach uchwalono wyjątkowe prawa na księży katolickich.

Dziś to wszystko ustąpiło absolutnej swobodzie. Dziś kościoły katolickie wznoszą się wszędzie. Duchowieństwo szanowane jest przez wszystkich.

Zaznaczam jednak, że rząd nie płaci pensyi na utrzymanie księży. Czy katolicy czy wyznawcy innej religii muszą swoim kosztem budować i utrzymywać kościoły, płacić składkę na utrzymanie proboszczów i Biskupów.

A jednak tam duchowieństwo biedy nie doznaje. Wierni są hojni dla swych pasterzy.

Parafie tworzą się w miarę potrzeby ludności.

Podam taki przykład. Nad brzegami Oceanu leży portowe miasto Boston. W jednej jego dzielnicy Cambridge (czytaj Kembridż) zamieszkało sporo emigrantów - Polaków. Poznali oni przejeżdżającego przez to miasto księdza J. Żmijewskiego z Królestwa Polskiego i zaczęli go prosić, aby z nimi pozostał. Zgodził się na to zacny kapłan i, uzyskawszy pozwolenie swego Biskupa, przeniósł się do Ameryki. W tym czasie z powodu braku dochodów zbankrutowała protestancka parafia przy ulicy Otis, właśnie w dzielnicy Cambridge, gdzie zamieszkał uproszony przez Polaków ks. Żmijewski. Dzielny ten kapłan żywo zakrzątnął się wśród rodaków: zebrał składkę, kupił protestancką kirchę, ozdobił, poświęcił i tak założył polską — katolicką parafię.

W innych miastach widziałem, jak ksiądz kupuje malutki kawałek ziemi, zakłada kapliczkę i szkołę — to początek parafii. W kilka lat potem dokupuje się duży plac i buduje wspaniałą świątynię. Parafia założona.

Już to w Stanach Zjednoczonych niema katolików malowanych, obojętnych, nie spełniających swych obowiązków, jakich wielu mamy w starym kraju.

U nas świątynie pobudowane, parafie zorganizowane, szkoły otwierać wolno, księża pobierają rządową pensyę, słowem Kościół ustalony. W Ameryce Północnej katolicy muszą wszystko tworzyć i wszystko utrzymywać. Kto pozostał katolikiem z przekonania, czynnie popiera Kościół; stąd, choć takich tam mniej, gorliwością przewyższają Europejczyków. Z własnej pracy wznoszą świątynie, budują szkoły, sprowadzają i utrzymują księży, organizują i opłacają gazety katolickie.

Księża zaś amerykańscy mają tam dużo więcej pracy i wpływu niż u nas. Nietylko spowiadają, odprawiają nabożeństwa i spełniają funkcye kościelne: oni organizują parafie, zakładają bractwa i stowarzyszenia, redagują lub wspierają pisma, prowadzą szkoły, urządzają czytelnie i biblioteki, zbierają i przechowują fundusze, zarządzają kółkami i komitetami i t. p. — tysiące muszą załatwiać spraw, społecznych i religijnych.

W Ameryce życie nie stoi, nie płynie tak nudno i powoli, jak u nas: ono wre i kipi, i każdy Amerykanin musi z niem nadążyć pracować i działać — inaczej zginie.

W Stanach Zjednoczonych znajduje się przeszło 40 dyecezyi. Około szesnastu milionów katolików. Polaków dwa do trzech milionów. Cyfry dokładnej podać nie mogę, bo dane statystyczne często różnią się od prawdziwych. Niejednokrotnie Polak urodzony w Galicyi lub Poznańskiem, na zapytanie przy urzędowym spisie, powie, że się urodził w Niemczech lub Austryi i figuruje na liście Niemców lub Austryaków.

Biskupa polskiego dla wszystkich Polaków niema. Jego Excellencya Biskup Rhode jest wikaryuszem generalnym, czyli pomocnikiem Arcybiskupa chicagowskiego tylko. Wprawdzie nie odmawia swych usług rodakom; konsekruje kościoły polskie i bierzmuje w obcych dyecezyach, ale nie z jurysdykcyi, lecz ze swej łaski i za zezwoleniem duchownej zwierzchności.

Będąc w Chicago, ja i moi towarzysze: ks. P. Mańkowski i ks. Z. Skarzyński mieliśmy szczęście złożyć swe

uszanowanie temu jedynemu polskiemu w Ameryce Biskupowi. Jakiż miły widok uderzył nas przy powitaniu. Biskup przyjmował dziatwę do szkoły. Egzaminował i rozmawiał z rodzicami. Biskup Rhode jest zarazem proboszczem. Parafia stanowi jego utrzymanie.

Duchowieństwo w Ameryce Północnej nie jest, ogólnie mówiąc, lepiej od naszego uposażone. Są miejskie parafie, bogate, tam i księża mają więcej dochodów. Są ubogie parafie w górach, wśród lasów i dolin. Niejeden ksiądz ma kilka misyjnych parafijek, rozłożonych w borach i lasach o kilkadziesiąt kilometrów jedna od drugiej, jeździ po jednej do drugiej i pracuje nieraz bardzo ciężko.

Zakonów nie brak w Stanach Zjednoczonych. Są tedy: Franciszkanie, Jezuici, Zmartwychwstańcy, Krzyżacy i inni. Wielką działalność rozwijają Siostry Felicyanki, uczące dziatwę. Zakonnicy i zakonnice cieszą się wielką swobodą i otoczeni są należnym szacunkiem.

Do najpiękniejszych kościołów polskich w całej Północnej Ameryce należy kościół św. Józefata w Milwaukee. Koszta budowy wyniosły przeszło 2 miliony koron. Piękne marmury, prześliczne rzeźby, wspaniała wielkość tego gmachu zachwyca każdego. Kościół ten wzniesiony został staraniem ks. Wilhelma Grutza. Skończony w roku 1901 należy obenie do Franciszkanów.

Bardzo piękne i duże kościoły są w Chicago, Milwakee, Buffalo i Bostonie. Statystyka z roku 1905 wykazywała 517 kościołów polskich. Dziś możemy ich liczyć do tysiąca. *(Dokończenie nastąpi).*

Noc w Koloseum.

(Wrażenie z pobytu w Rzymie).

Nad wiecznem miastem noc rozpostarła gwiaździsty całun, siedem pagórków tonie już w mroku, tylko wieże i kopuły świątyń rysują się ciemnemi liniami na pogodnem tle nieba.

Najciemniej jednak i najmroczniej jest w dolinie, objętej do koła wzgórzami, które pod nazwą Kapitolu, Pa-

łatynu, Eskwilinu i Caelium, zasłynęły w historyi świata. W głębi tej kotliny czernią się potężne mury Koloseum, olbrzymiego szkieletu, który dziś jeszcze przeraża rozmiarami swemi i nagością.

Zazwyczaj po zachodzie słońca pusto tu i cicho; rzadko kiedy przechodzień zabłąka się w tę stronę, gdyż z dawien dawna cyrk Flawiuszów złowrogiego używa rozgłosu.

W średnich wiekach gnieździli się w nim łotrzykowie wszelkiego rodzaju: jakiś czas był warownią feudalnych baronów, a naszem w stuleciu rzezimieszkowie zaczajali się w niezliczonych jego arkadach i ograbiali przechodniów.

Dziś jeszcze samotny wędrowiec niechętnie kieruje swe kroki w stronę amfiteatru i via Sacra. Nocami wstają tam z grobów widma przeszłości i snują się wśród zwalisk Rzymianie, przysięgają, że nieraz echo jęków i westchnień odbija się o strzaskane kolumny i mury.

Niema już jednak powodu do obawy; i duchy i bandyci pierzchnęli z Forum i Koloseum, wystraszeni gwarem, jaki tu panuje. Ludno jest i głośno w tem pustkowiu, powozy co chwila zjeżdżają z sąsiednich pagórków, gromadki ludzi wchodzą pod arkady i rozpraszają się po arenie. Dziś wielka uroczystość w dawnym cyrku Flawiuszów: mają puszczać fajerwerki, a ta ulubiona Rzymian zabawa ściąga corocznie tłumy w kotlinę Koloseum.

Zajeżdżamy o dziewiątej przed amfiteatr, który wśród mroku sprawia wrażenie jakiegoś olbrzymiego Lewiatana. Pochodnie, płonące gdzieniegdzie, raczej zwiększają, niż rozpraszają ciemności. Noc jest pogodna, gwiazdami wyiskrzona, wiosenna, ale od gór Sabińskich wieje chłód surowy, wspomnienie zimy, która tam się schroniła między skalne wąwozy i śnieżne szczyty, zanim z tego przytułku nie wypłoszą jej jasne promienie słońca i ciągłe z południa podmuchy.

Po arenie błąkają się w ciemności tłumy ludzi, gwarząc z sobą wszystkiemi językami świata; na wyższych piętrach zabłyśnie niekiedy mdłe światełko i wnet gaśnie. Muzyka wojskowa gra rozmaite marsze i uwertury, a z oddali dochodzi, niby szum fal morskich, stłumiony gwar kilkotysięcznej rzeszy. To bezpłatni widzowie, pouczepiani

u wszystkich okolicznych murów, krzyczą popychają się i niecierpliwią, nie mogąc doczekać się przedstawienia. Są to prawnuki tych samych Rzymian, którzy przed pałacami wylękłych imperatorów wrzeszczeli: *Panem et circenses!* a tłocząc się na stopniach amfiteatru, żądali, żeby chrześcijan rzucać lwom na pożarcie.

Z czcią stąpamy po ziemi, skropionej krwią Męczenników. Z każdego złomka murów, z każdej wyszczerbionej kolumny, przemawia do nas mnóstwo wspomnień.

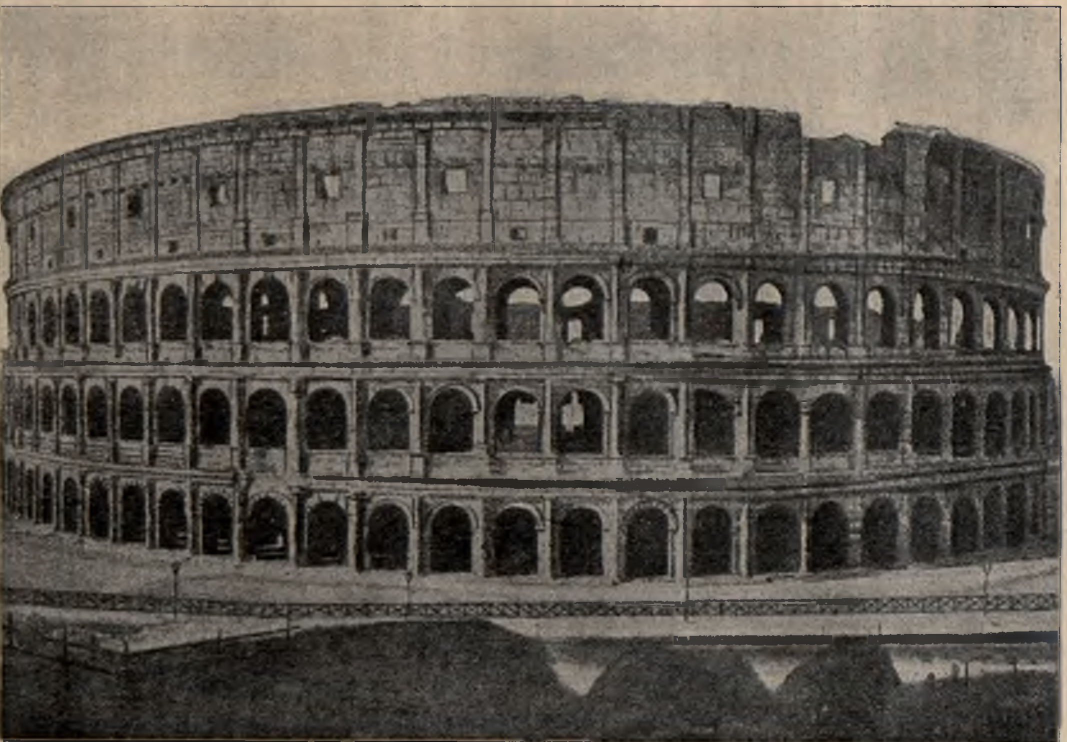
Wyobraźnia mimowoli odtwarza sceny, które się tu działy: widzimy gladyatorów, pozdrawiających imperatora wyrazami: *Ave Cesar! Mortituri te salutant!* widzimy dumne patrycyuszki rzymskie i bezbronne dziewice chrześcijańskie, wydane na pastwę dzikim zwierzętom.

Ten cyrk, zaczęty przez Wespazyana, a skończony przez Tytusa, musiał być za czasów swojej świetności ósmym cudem świata. Rzym chełpił się z niego, i uważał go za symbol swojej wielkości.

»Dopóki stać będzie Koloseum, dopóty stanie Rzymu. Skoro runie Koloseum i Rzym także upadnie, a razem z Rzymem świat cały« — brzmi proroctwo uczonego Bedy Venerabilis, który oglądał ten gmach w VIII. wieku po Chrystusie, kiedy całości jego murów nie zdołał jeszcze naruszyć ząb czasu, ani oręż najezdników, ani barbarzyńska ręka ludzka. Dziś jeszcze pomimo, że została z niego jedna trzecia część zaledwie, imponuje on, przygniata swoją wielkością. Dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi mogło się tu pomieścić.

Patrząc na te puste framugi, kędy stało niegdyś siemdziesiąt posągów, wyobrażających prowincye podległe cesarstwu rzymskiemu, przychodzi mi na myśl bardzo stara legenda: Posągi miały być zaczarowane, a skoro która z prowincyi buntowała się przeciw państwu, marmurowy jej wizerunek odwracał się od olbrzymiego posągu Romy ze złotem jabłkiem w ręku. Imperator korzystał z tego ostrzeżenia i natychmiast wysyłał legiony przeciw zbuntowanym, nie czekając, aż wieść nadejdzie od prokonsula.

Przechadzając się po arenie, dochodzimy do nizkiego, drewnianego parkanu, który odgradza rozkopane podziemia, gdzie niegdyś mieściły się klatki z dzikiemi zwierzętami.



Koloseum w Rzymie.

Musiały być bardzo obszerne, gdyż Rzymianie lubili patrzeć na krwawe walki lwów i tygrysów. Po ukończeniu cyrku, podczas igrzysk, wyprawianych przez Tytusa, trwających 100 dni, zginęło 5.000 dzikich zwierząt. Teraz z tej pustki wieje wilgoć i zniszczenie.

Naraz wystrzał przerywa nasze dumania; cały amfiteatr zajaśniał ogniami bengalskiemi. Na przemian, jedna arkada płonie złotem, druga szmaragdową barwą, trzecia żywem świeci fioletem, czarując wzrok harmonią i blaskiem kolorów, zlewają się z sobą w tęczową całość, obok dymu unosi się w górze, tworząc nad naszemi głowami przejrzyste velarium. Ku niebiosom lecą różnobarwne rakiety, pękają z trzaskiem, rozsypują się w gwiazd miliony. Koloseum, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, zmienia swoją postać: to już nie ruina opustoszała i opuszczona, lecz zaczarowany pałac Aladyna, utkany ze złota i drogich kamieni, iskrzący się tęczowemi ogniami rubinów, szafirów i szmaragdów, blaskiem opali i topazów. Nie znać szczerb, ani rozpadlin, gdyż powiewny obłok przesłania je krepowym rąbkiem. To co było, umarło, ożyło i powstało w stokroć większej chwałe i piękności.

Jeszcze nie zdążyliśmy ochłonąć z wrażenia, nasycić oczu nieporównaną symfonią barw i świateł, kiedy wszystko gaśnie i znika. Gdyby nie ostra woń prochu, możnaby mniemać, że nam się przyśniła jedna z bajek z »Tysiąca i jednej nocy«.

Powtórny wystrzał nową zapowiada fantasmagoryę: na tle omszonych murów ukazuje się olbrzymia, promienista stokrótka, otoczona zielonemi liśćmi, aluzya do imienia królowej: Margherita.

Muzyka opuszcza arenę, a za nią podąża publiczność. Forum i via Sacra będą z kolei widownią cudnej gry blasków i kolorów. Całe Koloseum płonie teraz szkarłatem, jak gdyby wszystka krew niewinnie tu wylana rozgorzała nagle. Wspaniały łuk Konstantyna promienieje różanym odbłyskiem jutrzenki, świątynia Faustyny tonie w fioletowem świetle, wysmukła kolumna Fokasa wygląda, jak gdyby była wykuta z gorejącego złota, szmaragdowe blaski zapełniają olbrzymie arkady bazyliki Konstantyna. Wśród zwalisk, odzianych w godowe szaty, iskrzą się róż-

nobarwne wodotryski, spadają migotliwe gwiazdy, płyną ku górze promieniste świece rzymskie. Świetlane szlaki łączą ziemię z niebem.

Teraz morze ognia z kolei całą zalewa kotlinę; zdaje się, że olbrzymi pożar ogarnął Romę.

Tak musiała wyglądać stolica świata, kiedy zdobywał ją Alaryk, na czele Wizygotów, kiedy Genzeryk wydał ją na łup dzikich hord wandalskich, kiedy hufce Roberta Guiscarda roznosiły po ulicach śmierć i pożogę.

Pali się łuk Tytusa i świątynia Zgody, zapadły się w płomienie mury bazylik, runął bronzowy posąg Nerona, w postaci boga słońca, i stopiony żarem, płynie strugą gorącej lawy; tylko murowany piedestał sterczy jeszcze wśród ognistej powodzi. Skaliste zręby Palatynu także purpurową rozgorzały łuną, ze świątyni Kastora i Palluksa zostały tylko trzy wysmukłe kolumny z paryjskiego marmuru. Kłęby dymu zwiększają jeszcze złudzenie.

Tracimy poczucie rzeczywistości i chwilami zdaje nam się, że istotnie patrzymy na jeden z tych strasznych kataklizmów, wobec których nic się nie ostoi, wszystko musi runąć i przepaść....

O, tak, wszystko runęło, wszystko przeszło i zagasło, tylko wysmukła dzwonica kościoła św. Franciszki, wznosi się nietknięta nad szalejącem morzem płomieni, a na niej błyszczy krzyż tryumfujący — zawsze miłosierny i rozpościera opiekuńcze ramiona nad zgliszczami świata pogańskiego, nad cmentarzyskiem bóstw pogańskich.

»I burza minie, a krzyż się ostoi!«

Siła i długowieczność naszych przodków.

Że Polacy w granicach dawnej niepodległej, nierozszarpanej jeszcze Ojczyzny naszej większą od następnych pokoleń (a zwłaszcza dzisiejszego) odznaczali się rycerskością, siłą woli, wytrwałością, odpornością na trudy, energią, zdrowiem — mamy liczne na to w kronikach naszych dowody.

Było to zresztą rzeczą zupełnie naturalną, wypływało bowiem z koniecznego trybu życia naszych przodków: częste wyprawy w ciężkiej zbroi, szermierka, gonitwy, łowy powojenne i potrzeba przywdziewania na się zbroi, podróże konne, prace ręczne, wreszcie przebywanie przeważnie na wsi—wszystko to sprawiało, że siłacze w owych czasach wcale nie należeli do jakichś wyjątkowych zjawisk. Z całego szeregu na to w dawnych źródłach przechowywanych dowodów przytoczyć można tutaj parę.

W XIV. wieku Stanisław Ciołek, syn wojewody, chłopcem jeszcze będąc, wstępował na wyższe miejsce, brał w każdą rękę dorosłego mężczyznę i tłukł jednego o drugiego. Dzwon spuszczony z wieży jednego z kościołów krakowskich wziął za ucha i zaniósł po schodach do kościoła. We wsi swojej Ostrołęce, przy stawianiu młyna, zobaczywszy kilkunastu ludzi dźwigających potężną belkę, kazał ją wszystkim wziąć za jeden koniec, a sam pochwycił za drugi, przeniósł z nimi i osadził na ścianie. Kiedy ścisnął świeże drzewo, to ciekł z niego sok, jak z gąbki. Dwie złożone razem podkowy rozciągał lub kruszył. Oznaczywszy krótką szablą koło na ziemi, nie dał się z niego wyciągnąć za sznur choćby i dwunastu ludziom. W czasie pobytu swego w Pradze z Kazimierzem Wielkim, stanął do walki z jakimś słynnym siłaczem i tak go uścisnął, że biedny Czech skonał w jego objęciach. Wysłany w roku 1356 na Wołyń przeciwko Tatarom, poległ Stanisław Ciołek pod Włodzimierzem śmiercią bohaterską.

Wojciech Brudzyński, dworzanin królów Aleksandra Jagiellończyka i Zygmunta I., sześciu ludzi w pełnych zbrojach dźwigał na swoich barkach, a siedząc na koniu, gdy chwycił się rękami belki w bramie wjazdowej, konia swego w górę nogami z ziemi uniósł.

To samo umiał Wiesiołowski, marszałek wielki litewski, który pewnego razu na łowach uratował Zygmunta Augusta od śmierci, osadzając na miejscu oszczepem żubra, który pędził na króla.

Król Zygmunt I. łamał podkowy, rwał postronki, napinał kuszę bez lewara, talię kart przedzierał. Niemniej silnym od niego był Janusz II, ostatni książe mazowie-

cki (1526), który także słynął z wyrzucania w górę kół i potężnych kamieni.

Marcin Brzozowski, »Kapturem« zwany, tańczył swobodnie dokoła stołu z beczką piwa na ramieniu. O Jakóbie Niezabitowskim (w wieku 16), słynnym z odwagi, niesłychanej siły i olbrzymiego wzrostu, a będącym postrachem Tatarów, wspomina z uwielbieniem Bielski.

Tyszkiewicz, wojewodzie brzeski, rozdrażniał niedźwiedzia, a gdy już zwierz stanął na łapach, łeb mu wtedy ucinał. Ks. Druszkowski, proboszcz bochotnicki, kiedy mu obce konie wpadały do ogrodu, przez mur je wyrzucał.

Czasy tych Herkulesów bezpowrotnie już chyba minęły i dlatego to może z tem większym podziwem patrzymy dzisiaj na wyjątkowych, nielicznych bardzo siłaczy, popisujących się na arenach w cyrku — patrzymy jak na zabytki dawnej przeszłości, zapominając nieraz, że to, co nas w nich wprawia w zdumienie, nie jest ową naturalną przodków naszych siłą, lecz niemniej może podziwu godną, ale tylko techniką (wyćwiczeniem).

Przy tak olbrzymiej sile, dawni Polacy długiem cieszyli się życiem. Piast miał żyć 120 lat; Gerundy Denhoff 130. Rycerz Jan Krzetowski mając 100 lat, wojsko do obozu prowadził. Tomasz Zamojski przeżył 100 lat, a na Wołyniu niejaki Jakób Zygmunt, w tymże wieku, jakby młodzieniec, harcował na koniu.

We wsi Miechowej, w Bracławskiem, włościanka Marya Świeniecka żyła 120 lat, a Jacanowska w 165 roku życia umarła z przestrachu przy oblężeniu Torunia przez Szwedów. W okolicach Krosna, rolnik pewien w 115 roku życia pracował za czterech parobków, a krawiec Puchalski w Warszawie w 101 roku życia szył bez pomocy okularów.

Kucharka w Kozielcu 106-letnia, w roku 1741 gotowała obiady nawet na senatorskie stoły. Organista w Sierakowicach w 107 roku grywał pięknie na organach; zbiegano się z najdalszych stron, by słuchać jego gry mistrzowskiej. W Chełmnie niejaki Pobowiecki, woźny sądowy, 105-letni starzec, gdy krzyknął: »Mości panowie uciszcie się!« było słychać na drugiej stronie ulicy.

W Rynkowcach 112-letni starzec, młynarz, wstrzymywał jedną ręką koło młyńskie, Henorowicz, szewc, umarł w 115 roku życia.

W Lichnowicach żyła rodzina Różyckich; w której przez kilka wieków każdy potomek żył około 100 lat. W zeszłem stuleciu cesarzowi Napoleonowi przedstawiono szlachcica polskiego w ubiorze z czasów Jana III. Sobieskiego. Ten niezwykle długi wiek był zazwyczaj skutkiem skromnego i czynnego życia.

ZWYCIĘZCA.

Przed Napoleonem I. stał człowiek blady i smutny. Na czole jego głębokiemi zmarszczkami pooranem wypisane były troski i trudy, a obok nich myśl głęboka. Pierwszy konsul Francyi, Bonaparte bowiem nie był wówczas jeszcze cesarzem, spoglądał wszakże na niego, jak gdyby z politowaniem. W pokoju cisza panowała, nareszcie przerwał ją Napoleon.

— Jużem raz dał panu odpowiedź przez marszałka Marmot, rzekł tonem gniewnym. Niepotrzebnie trudziłeś się pan osobiście. Nie zmieniam mych przekonań tak często, jak rękawiczki, pomysł pana uważam za szaleństwo. Francya jest za ubogą, aby dawać pieniądze szarlatanom i awanturnikom?

Krew uderzyła do twarzy bladego człowieka, nie odpowiedział jednak ani słowa, zapanował nad wzburzeniem, jakie mu zawrzało w piersi i wyszedł w milczeniu.

Tym mniemanym szarlatanem był Robert Fulton, amerykanin, który prosił Bonapartego o zasiłek pieniężny. Oddawna marzył Fulton o zastosowaniu w żegludze maszyny parowej, lecz nie miał na to środków; zbudował już model statku parowego, statek ten żeglował po Sekwanie wobec licznego tłumu widzów, zebranych nad brzegiem rzeki, lecz pierwszy konsul uporczywie odrzucał wynalazek, nie wierząc w jego praktyczność; nawet nie chciał go poddać poważnemu badaniu uczonych.

— I cóż czynisz teraz? zapytał zawiedzionego w swych nadziejach mechanika jeden z jego znajomych.

— Zbuduję statek parowy, odparł krótko Fulton.

— Jak? czem?

— Tego nie wiem jeszcze, ale to wiem, że przeszkody słabym tylko odwagę odbierają, a ja słabym nie jestem! odrzekł stanowczym tonem amerykanin.

I nie porzucił swych marzeń. W roku 1807 Fulton opuścił Francyę, by do ojczyzny powrócić. Tam pracował dalej nad swojem dziełem, ale i tu przesądy, uprzedzenia utrudniały mu pracę. Nie zrażał się jednak i za pożyczone pieniądze budował wytrwale parowiec... Po kilku miesiącach dzieło było skończone. Statek parowy, zwany Clermon, ukazał się na rzece Hudson. Zebrane tłumy nad brzegiem rzeki przypatrywały się z powątpiewaniem dziełu rodaka. Wtem na pokładzie ukazał się Fulton, pogodny, promieniejący radością i rzekł głośno, tak, aby był przez wszystkich słyszany.

— Kto zechce odbyć ze mną podróż do Albany, tego biorę darmo na mój parowiec!

Lecz w tłumie, stojącym nad brzegiem rzeki, nikt ku przystani się nie skierował. Posypały się tylko drwiące i złośliwe żarty, a nawet groźby.

— Skąpać nas chcesz w rzece, mówili, dziękujemy pięknie!

— Ty, stary oszuście! wołali drudzy, chcesz na nas próby odbywać?... Rób doświadczenia na samym sobie!

Fulton pobladł, skinął na majtków i sam popłynął. Zaszumiały wody, rzeki i statek posunął się zrazu zwolna, potem z szybkością strzały... Ucichły żarty i groźby, tłum w milczeniu patrzył na parowiec, a potem jednym głosem zakrzyczał:

— Niech żyje Fulton!

Geniusz odniósł tryumf nad ciemnotą ludu. Fulton ukazał się na pokładzie. Dobry człowiek, już przebaczył winowajcom, powiał białą chustą ku rodakom, jakby chciał powiedzieć:

— Dziękuję wam!

W oczach jego świeciły łzy radości. Zwyciężył wreszcie przesądy, był panem swego wynalazku.

Wprowadzenie w życie żegługi parowej, które świat zawdzięcza Robertowi Fultonowi, jest jednym z ważniejszych wypadków w dziejach ludzkości, równie ważnym, jak wynalazek drogi żelaznej, bo ułatwił komunikacyę między państwami, zbliżył rozdzielone oceanami części świata. To też choć Francya zraniła obojętnością tego wielkiego człowieka, choć Ameryka zrazu nie dowierzała jego pomysłowi, jednakże w końcu uczczono go, otoczono szacunkiem i uwielbieniem, a gdy Fulton umarł roku 1815, mieszkańcy Stanów Zjednoczonych przez cały miesiąc żałobę nosili. Dziś świat cały nazwisko Fultona z szacunkiem wymawia.

Obrazki marokańskie*).

W jednym z tegorocznych numerów paryskiego dwutygodnika *La Revue*, p. Karol Géniaux kreśli kilka ponurych obrazków z życia marokańskiego, zaczerpniętych z opowiadań Europejczyków, którzy z powodu interesów handlowych bawili w ostatnich latach dłużej lub krócej w tym burzliwym kraju. Każdy z tych osadników lub kupców opowiedział panu Géniaux najciekawszą przygodę ze swego życia na gruncie marokańskim, świadczącą, że obyczaje mieszkańców Maroka są jeszcze bardzo dzikie.

— Wyjechałem z Casablanca — opowiadał osadnik p. M. M., Francuz — podczas świąt Mouloud, obchodzonych na pamiątkę urodzin Proroka. Nazajutrz wieczorem miałem zobaczyć się w pewnej wiosce marokańskiej z moim pośrednikiem w zakupach nasion, niejakim Sadok Tlali. Przybywszy do jego domu, wzbudziłem w nim swą obecnością wielki niepokój.

— Trzeci rok mieszka pan w Maroku, nie wiedząc, że w tym tygodniu obchodzimy święto Mouloud. Zabraniam panu wyjść z mego domu! — zawołał gwałtownie Sadok.

---

*) Maroko, kraj na północnym zachodzie Afryki. W ostatnich czasach Francuzi starają się opanować ten kraj.

Mimo tego zakazu, chciałem wyjść na ulicę wioski, lecz Sadok rzucił się na mnie razem ze swymi służącymi i uwięził w swym domu. I miał racyę, co wyjaśni następujący wypadek.

W wiosce przebywało wówczas muzułmańskie bractwo Aissaounas, udające się do Casablanki. Ci sekciarze muzułmańscy byli tak zaciekli, że zabiliby każdego chrześcijanina na swej drodze, podczas dni świątecznych Mouloud.

Nazajutrz po mem uwięzieniu przez przyjaznego mi i dbającego o moje życie Sadoka, mogłem obserwować przez okno praktyki religijne tego bractwa.

Na ulicy wioski tworzyli oni kolisko, otoczone przez wielki tłum Beduinów. Sekciarze tańczyli przy dźwiękach tamtamów, szarpali na sobie odzież, drgali, jak w konwulsyach. Najbardziej histeryczni fanatycy z bractwa Aissaouas, mieli na wargach pianę i kaleczyli swe twarze i ramiona cierniami. Niektórzy zjadali skorpiony, które im rzucał naczelnik bractwa. Krew, pot, ślina szpeciły te straszne postacie.

Nagle rzucili się na jakiegoś człowieka, zdarli z niego odzież, skoczyli na jego obnażone ciało i usiłowali zmiażdżyć je swemi stopami.

Zaledwie zdołano wyrwać nieszczęśliwego z rąk rozszalałych fanatyków. Był to żyd.

Fanatycy uczyniliby to samo z każdym chrześcijaninem — zapewnił mnie Sadok.

Po świętach Mouloud, mój przyjaciel Sadok uwolnił mnie i zaprowadził do obozowiska tych sekciarzy, którzy, podobnie, jak ja, udawali się w powrotną drogę do Casablanki.

Teraz byłem niezmiernie zdziwiony spokojem tych fanatyków. Pokryci ranami, leżeli na swych matach, pili kawę i mnie nią poczęstowali.

Sadok polecił mnie, jako ich towarzysza podróży do Casablanki, którą następnie odbyłem z nimi razem. Troszczyli się o mnie w drodze, byli dla mnie bardzo uprzejmi. Ci fanatycy, poza dniami swych dzikich igrzysk religijnych, byli jak najspokojniejszymi ludźmi. Tylko na Wschodzie spotkać można takie przeciwieństwa.

A oto drugi obrazek, malujący sposób ściągania podatków w Maroku. Opowiedział go p. M. D, również Francuz, który podróżował, na krótko przed obecną akcyą francuską w Maroku, w sprawach handlowych.

Pewnego wieczoru — opowiada ten Francuz — usłyszałem na drodze jakieś straszne dźwięki. Zdawało mi się początkowo, że w pobliżu znajduje się banda europejskich chłopców szkolnych, którzy rożnorodnymi dźwięki trąbek wygrywają jakąś piekielną serenadę. To wspomnienie Europy tu w Afryce rozbawiło mnie.

Mój towarzysz podróży, stary Hiszpan, który z biegiem lat stał się prawie Arabem i znał doskonale obyczaje Marokańczyków, przybrał minę bardzo poważną, prawie trwożną.

— Nie śmiej się pan — rzekł do mnie. Te niesforne dźwięki trąb wydają żołnierze z wojska marokańskiego (mahalla). Wracają oni z jakiejś ekspedycyi wojskowej, która zazwyczaj bywa rozbojem.

Mahalla zbliżała się. Oddział ten składał się zaledwie z 50 jeźdźców w czerwonych kaftanach i zakurzonych szarawarach. Połowa oddziału miała trąby, lecz kilkunastu żołnierzy nie miało broni. Dowodził nimi oficer, którego zapytałem się, za pośrednictwem mego towarzysza Hiszpana, skąd wraca.

W odpowiedzi oficer rozłożył lewą rękę, w którą począł uderzać prawą dłonią, co miało oznaczać, iż powraca z pewnej wioski, zamieszkałej przez biednych fellahów (chłopów), dokąd wysłał go jego zwierzchnik, Kadi, dla poboru podatków.

Ci przeklęci fellahowie odmówili zapłacenia podatków, więc musiał ich ukarać, co właśnie objaśniło owo bicie lewej ręki przez prawą.

— Jak ich ukarałeś? — zapytałem.

Chcąc nam wyjaśnić rodzaj kary, oficer kazał czterem żołnierzom zdjąć z koni ciężkie wyładowane worki.

— Otwórzcie worki! — zawołał do żołnierzy.

Żołnierze rozwiązali worki i poczęli wyjmować powoli jedną, drugą, trzecią, dziesiątą głowę dziecięcą. Głowy wydawały się jeszcze żywe, tylko uśpione, świeże, otoczone pukłami wijących się włosów. Wyjęli po kolei 26 głów

chłopców, w wieku od 6 do 12 lat i ułożyli je w koło. Nareszcie jeden z żołnierzy umieścił w tem kole z głów dziecięcych szlachetną głowę starca, z oczyma, rozszerzonemi z przerażenia.

Na ten straszny widok cofnąłem się z przerażenia. A oficer zawołał: Spójrzcie! Oto cała szkoła, ucząca się koranu, z nauczycielem pośrodku.

I śmiał się, zadowolony ze swego zwycięstwa nad mieszkańcami, nie płacącymi podatków w Maroku.

Prawidła życia.

Tomasz Zan, jeden z najzacniejszych Polaków, przyjaciel Mickiewicza, założyciel stowarzyszenia młodzieży na uniwersytecie wileńskim, ułożył dla członków owego stowarzyszenia »prawidła«, które po wieczne czasy mogą służyć za wskazówki postępowania w życiu wszystkim, chcącym kształcić i doskonalić swe dusze.

Jako główne podstawy życia cnotliwego i pożytecznego, uważa Zan dwa przedewszystkiem czynniki, to jest: moralność i oświatę.

W pierwszym punkcie »prawideł« każe Zan młodzieńcowi codziennie po ocknieniu ze snu przypominać sobie, że »czas szybko i bez powrotu ucieka«, a zatem należy z niego korzystać ze wszystkich sił, aby przez cnotę i naukę zapewnić sobie szczęście osobiste.

»Pracuj naprzód nad odkryciem twoich niewiadomości — powiada. — gdy zaś poznasz, czego i jak wiele nie umiesz, czego i jak chciałbyś się nauczyć i czego nieuchronnie do twej nauki potrzebujesz, natenczas bądź przekonany, że uczyniłeś pierwszy, lecz wielki krok na drodze doskonalenia twego umysłu.

»Nie nazywaj dostateczną nauką wiadomości, usłyszanych z ust obcych albo wyczytanych z książki — mówi w dalszym ciągu, dając skuteczne rady, jak należy nabywać prawdziwej mądrości życia przez zgromadzenie wiedzy i doświadczenia — lecz staraj się nadto, sam nad wszystkiem, co widzisz, słyszysz, pojmujesz, ciekawie i ro-

zumnie zastanawiać się i myśleć, aby nabyte wiadomości przerabiały się w istotny pożytek i własność twego umysłu: podobnie, jako pokarm użyty i przetrawiony zamienia się w posiłek, krew we właściwe części twego ciała«.

Dalej zaleca Zan być skromnym w rozmowach, zdaniach, opiniach, nie stawać się zarozumiałym i nie unosić się, broń Boże, pychą z tego, co się zdobyło w dziedzinie wiedzy i nauki, bo to rzecz niebezpieczna i łatwo prowadząca do zguby. Gdybyś spostrzegł w sobie zarodek tego niebezpieczeństwa: »bież co rychlej do umiarkowańszego od ciebie, użyj jego rady, albo innych sposobów do odkrycia twoich niedoskonałości«.

Krótko, ale zazwyczaj jasno i treściwie określa w następnych paragrafach pojęcia cnoty, patryotyzmu, przyjaźni i miłości bliźniego.

»Chcesz być cnotliwym?« — pyta i zaraz taką daje odpowiedź: »Zapatruj się na sprawy wielkich cnotami ludzi, ażebyś usposobił się czuć szlachetnie. Gdy zaś uczujesz przywiązanie do ziemi ojczystej, skłonność do przyjaźni z towarzyszami swego wieku i powołania, miłość bliźniego i troskliwość o samego siebie, natenczas możesz być przeświadczony, że uczyniłeś pierwszy, ale wielki krok na drodze doskonalenia twego serca«.

»Słodkich owoców przyjaźni z twoimi towarzyszami możesz być pewnym, jeże stłumisz w sobie do szczętu samolubstwo i zazdrość, jeżeli będziesz szanować chwalebne postępki towarzyszów, będziesz szczery i otwarty, będziesz słuchał bez żadnej urazy naganę wad swoich i z pociechą przyjmował rady i przestrogi«.

Miłości bliźniego pokażesz dowody, jeżeli będziesz umiał litować się nad cierpieniem ubogich, bez względu na ród, stan, przekonania, wiek i płeć cierpiącego współczłowieka.

»Troskliwość o samego siebie zakładaj na tem, ażebyś wszelkiemi siłami doskonalił umysł i serce, tudzież utrzymywał czerstwość i zdrowie, chroniąc się stale gnuśności i rozpusty.

»Im łagodniejszym coraz będziesz się stawał i prostszym w pożyciu z drugimi, tem większego postępu w moralności będziesz miał dowody. Jeżeli kto naruszy twoją

łagodność, bądź spokojny; jeżeli cię dotkliwie obrazi, przebacz mu; jeśli natrętnik dalej się uniesie, zlituj się nad jego nierozsądkiem i proś go, ażeby cię wyzwolił ze swojej napaści; jeżeli i tym sposobem nie ustanie w złośliwości, przebacz mu jeszcze i proś go jeszcze, i nie uważaj gwałtownego odporu, chyba w przypadku niebezpieczeństwa«.

Ta chrześcijańska równowaga i pobłażliwość stanowią przez całe życie najwydatniejsze rysy charakteru i usposobienia samego Zana, który nietylko nakreślił młodzieży programat taki, ale sam sobie wcielił go niejako i do zgonu był żywym wzorem wygłaszanej teoryi.

Czyż nie wart, abyśmy powyższe »prawidła« przyjęli za swoje i według nich postępowali?

Aeroplany u zwierząt.

Najznakomitszym wynalazkiem ostatnich czasów są bez wątpienia maszyny latające, tak zwane, aeroplany. I nic dziwnego; — ludzie niezmiernej dokazali sztuki: latają po powietrzu za pomocą przyrządu cięższego od powietrza.

A jednak, powiedziećby można, że człowiek nie ma się czem pysznić. Prawa, które kierują wzlotem aeroplanu, oddawna już są znane... pewnym zwierzętom. Wyliczymy z nich niektóre.

Wiewiórka latająca, zwana polatuchą, posiada po obu stronach ciała skórę obwisłą, w kształcie fałdów, pomiędzy przedniem i tylnemi nogami, które rozciąga jak spadochron i za ich pomocą może wykonywać bardzo szerokie skoki na znacznej nawet przestrzeni, przy czem ogon puszysty służy jej za ster. Nie jest to zatem lot właściwy, kierowny, jak u nietoperzy, ale tylko zdolność utrzymywania się przez dłuższy czas w powietrzu podczas skoku. Pospolita polatucha w dość znacznej ilości zamieszkuje brzozowe i sosnowe lasy wschodniej Europy i Syberyi, ale jako nocne zwierzątko, mało jest znana.

Wiewórka norfolska, która zamieszkuje Nową Walię (w Australii), z niezwykłą zręcznością drapiąc się na najwyż-

sze szczyty drzew, wcale nie zadaje sobie trudu ze schodzeniem, ale rzucając się śmiało w dół, używa swoich fałdów, niby spadochronu. Skoki te bywają czasem zdumiewającej długości, a zwierzątko za pomocą swego »aeroplanu« płynie w powietrzu, zmieniając dowolnie kierunek zwrotami ogona.

Zdolność latania po powietrzu posiada pewien rodzaj jaszczurki zwany smokiem latającym. Nie ma on nic wspólnego z bajecznym smokiem w legendach i baśniach. Jest to nieszkodliwa, mała jaszczurka; ma około stopy długości; mieszka na drzewach w południowo-azyatyckich lasach. Żebra ma bardzo długie i ruchome, za ich pomocą rozciąga skórę na bokach ciała nakształt skrzydeł i tym sposobem może, podobnie jak polatucha, przelatywać z drzewa na drzewo na znacznej odległości.

Pomiędzy rybami morskiemi znajduje się też gatunek ryb latających, które wskutek swych mocno rozwiniętych pletw piersiowych i małego stosunkowo ciężaru zdolne są do utrzymania się czas jakiś w powietrzu. Wzbijają się one z wody tysiącami i zawsze w prostym kierunku przeciwko fali, najczęściej w czasie burzy, lub silnego wiatru. Przelatują czasem do 200 metrów, wznosząc się w górę na 6 metrów. Przy wzlotach pletwy tych ryb wyprężają się silnie i pozostają nieruchome, niby skrzydła aeroplanu. Lecą zwykle dalej przeciwko wiatrowi, niż z wiatrem, a tylko wiatr dmiący z boku zmusza je do zbaczania od obranego kierunku. Szybkość ich lotu jest na początku dość znaczna, potem się zmniejsza; czasem bywa, że uderzają się o wodę i ponownie wznoszą w powietrze, po chwili znów powtarzają toż samo. Zdaniem przyrodników, ryby te mogłyby przelatywać większe przestrzenie, gdyby im pletwy nie wysychały w powietrzu. Wysychając, stracą one swą elastyczność i nie mogą ryby w powietrzu utrzymać; muszą więc co pewien czas spadać do wody, aby je zamoczyć.

Ojczyzną tych ryb są morza podzwrotnikowe i umiarkowanej strefy, niekiedy ukazują się one w morzu Śródziemnem, widziano je też na brzegach oceanu Atlantyckiego w Anglii. Z pomiędzy ryb tego gatunku najbardziej uzdolnioną do latania jest ostrolotka, albo »jaskółka mor-

ska«. Ma ona tylko 6 do 10 cali długości, żyje gromadnie i z wierzchołka fal rzuca się łukowato w powietrze. Nieraz na 20 stóp wysoko wznosić się może, a przelatuje przestrzeń na 600 stóp długą.

Są w naturze inne jeszcze przyrządy do bujania w powietrzu, niemniej skuteczne od skóry i pletw. Takim przyrządem jest delikatna przędza »babiego lata«. Pospolicie mniemają ludzie, jakoby wiatr przerywał sznurki pajęczyny i te resztki unosił w powietrzu, dopóki się gdzieś nie przyczepią. Baczniejsze jednak oko przyrodnika znalazło inną tego zjawiska przyczynę. Oto na płynącej w powietrzu pajęczynie wisi u dołu pająączek i, unoszony prądem powietrza, wzbija się niby balonem w błękity. Miła to przejażdżka, a choć czasem, przy zbyt silnym wietrze, balonik pajęczynowy się urwie, przeważnie jednak mały podróżnik żegluje w powietrzu z powodzeniem. Sprawcami »babiego lata« są najczęściej drobne gatunki pająączków. One to, siedząc na liściu, czy suchym konarze, snują z gruczołów, tak zwanych kądzielników, długie nici pajęczyny, któremi wiatr igra. Gdy już pająączek tak wielki węzeł nici wysnuje, że ten zdoła unieść śmiałego żeglarza, zasiada w ich końcu spokojnie i oczekuje chwili, kiedy ciepły prąd wiatru uniesie te sznury w powietrze. W podobny sposób budują sobie pająki mosty napowietrzne pomiędzy drzewami, lub nawet nad mniejszemi strumieniami, jeżeli się chcą przenieść na miejsce dogodniejsze.

Że pająki mogą się za pomocą pajęczyny unosić nawet daleko, świadczą o tem liczne spostrzeżenia. Zauważono n. p. nieraz w odległości 10 mil od wybrzeży afrykańskich na otwartem morzu całe gromady pająączków, unoszone prądem ciepłego powietrza, które przyczepiały się do masztów i lin okrętowych.

Dlaczego właśnie w jesieni snują pająki w ten sposób pajęczynę, przyrodnicy różne podają przyczyny. Jedni mniemają, że mając w jesieni poddostatkiem żeru, pająączki czynią swoje wycieczki dla przyjemności; inni porównywują to zjawisko z ciągnieniem ptaków. Najprawdopodobniej pająączki, korzystając z pięknej pogody, puszczają się przy pomocy pajęczyny w powietrze na połów drobnych muszek, które w tym czasie bujają tysiącami w słońca pro-

mieniach. Porozwieszane po drzewach sznury pajęczyny są i latem, ale nie widać ich z pośród liści. Dopiero gdy liście opadną, wychodzą na jaw te nici pajęcze, które wiatr unosi i rozrywa, a które śmiało nazwać można aeroplanem pająka.

Rozmaitości.

Żyd a krzyż zasługi.

Sławny rosyjski jenerał Skobelew, znany pod nazwą „białego jenerała“, siedział pewnego dnia w czasie rosyjsko-tureckiej wojny w swoim namiocie, zajęty pisaniem. Tuż za namiotem płynął Dunaj. Nagle nadlatuje granat i pada wprost przed namiotem... jeszcze chwila, a Skobelew stałby się ofiarą niszczącego pocisku. Stojący jednak przed namiotem na straży żołnierz, naturalnie także przedewszystkiem w własnej obronie, pochwycił natychmiast granat i wrzucił go do rzeki.

Żołnierz ten był żydem. Skobelew, widząc, że mu uratował życie, przemówił doń: „Czy wiesz, żeś mi uratował życie, namyśl się, co wolisz otrzymać w nagrodę, czy krzyż zasługi, czy 100 rubli“.

— Żołnierz pomyślał chwilę i zapytał:

— A ile kosztuje taki krzyż?

— Co kosztuje? Sam dla siebie może mieć wartość zaledwie 5 rubli. Ale za to przynosi zaszczyt!

— Skoro się tak rzeczy mają, odpowiedział żydek, to proszę o 95 rubli i... o krzyż zasługi.

Wdowa mająca 50 dzieci i 270 wnuków.

W Pretoryi, w południowej Afryce, w dystrykcie Kronstadt w Transwalu, żyje pewna 79-letnia wdowa van Wyk, która ma poza sobą ciekawą historyę życia. Urodzona w roku 1832, wyszła w 18 roku życia pierwszy raz zamąż. Po dwóch latach owdowiała, mając 1 dziecko. Wkrótce, bo już po 10 miesiącach, wyszła powtórnie zamąż, tym razem za wdowca M. M. Pretoriusa, ojca czworga

dzieci. Z mężem tym żyła jednak tylko niespełna półtora roku, pozostawszy znowu wdową, mając już pięcioro dzieci.

Już po pięciu miesiącach wyszła poraz trzeci za mąż za Dawida Rieterse, który wniósł jej jako prezent ślubny siedmioro swoich dzieci. Z nim żyła lat 11, rewanżując się mężowi powiciem również siedmiorga dzieci. Po śmierci jego pozostała wdową, mając już 19 dzieci do wyżywienia.

Potem wstępuje po raz czwaty w związek małżeński i znowu z wdowcem Danielem Cronje, ojcem ośmiorga dzieci. I z tym żyła lat 11, obdarowując męża czworgiem dzieci.

Po śmierci jego była przez 5 lat wdową, poczem wychodzi za Henryka Kloppera, kawalera; z nim żyła również 11 lat i miała dziewięcioro dzieci, zanim i ten przeniósł się na łono Abrahama. Po dwuletniem wdowieństwie wychodzi po raz szósty za mąż i znowu za wdowca z pięciorgiem dzieci, Henryka van Wyka.

Z małżeństwa tego miała czworo dzieci. Jak trzej jego poprzednicy, tak i van Wyk zmarł po 11 roku pożycia małżeńskiego. Wytrzymała pani van Wyk, pozostała już wdową, otoczoną pięćdziesięciorgiem dzieci, które ą nazywają matką. Wnuków doczekała się dotychczas 270.

Piekło chińskie.

Jak szkoły podzielone są na klasy i stopnie — tak też Chińczycy piekło podzielili na okręgi, które z góry zaludniają przestępcami, stosownie do ich specyalności i stopnia wykroczeń. Stopień pierwszy obejmuje wszystkich obywateli chińskich, którzy przed śmiercią trudnili się niewypłacaniem długów, lichwiarstwem, szulerstwem i szpiegostwem. Ci mają być tłuczeni na wzór — mówiąc po ziemsku — cynamonu w moździeżu.

W drugim stopniu piekielnym mieszkają występcy przeciwko religii: niedowiarkowie, świętokradzcy i bezbożnicy. Cała ta publiczność odbywa pokutę w postaci serca do dzwonów. Gwałtowny huragan porusza wciąż dzwonami, zaopatrzonymi zamiast serc żelaznych w ciała zażartych niedowiarków.

Trzeci stopień zamieszkały jest przez płeć nadobną. Wszystkie damy, trudniące się wynalazkami w dziedzinie kosmetyki, mody, wypełniają ten okręg.

Zakaz podróżowania.

Dziś wolno w Austryi każdemu wyjeżdżać kiedy chce i dokąd chce. Były jednak czasy, i to nie zbyt dawne, gdy wyjazd z Austryi był rzeczą wcale nie łatwą.

Już cesarz Józef II. ustawą o wychodźtwie z 10-go sierpnia 1774 postanowił, że żaden poddany nie śmie opuszczać granic państwa bez szczególnego pozwolenia. Młodzież rodów szlacheckich do 20-go roku życia nie mogła wogóle wyjeżdżać, a to dlatego, bo rząd chciał, żeby jak najmniej pieniędzy wywożono za granicę.

Po wojnach napoleońskich stała się w Austryi gotówka rzadkością, a że ci, którzy ją posiadali, wyjeżdżali chętnie za granicę, więc wzbudziło to niechęć rządu.

W roku 1806 2-go września otrzymał minister spraw zagranicznych, hr. Stadion odręczne pismo cesarza Franciszka następującej treści: „Z uwagi na to, że sumy, które różne osobniki wywożą za granicę dają w całości pokaźną liczbę, zabrania się takich podróży za granicę. Tylko w wyjątkowych wypadkach można udzielić pozwolenia, jeśli podróż istotnie jest potrzebna; nigdy zaś w wypadkach podróży dla przyjemności".

Monarchii to nie pomogło; w pięć lat później i tak zbankrutowała. Stosunki te dające nieraz możność do nieuzasadnionych szykan policyjnych, ustały dopiero po rewolucyi. Obecnie po stu latach odbijają się prawnuki za te zakazy dawniejsze i jeżdżą w sposób nielitościwy, czy potrzeba, czy nie potrzeba.

Szkolnictwo w Europie.

Ogółem istnieje w Europie 465 tysięcy 451 szkół, w których zajętych jest 1 milion 119 tysięcy 413 nauczycieli: naukę pobiera 45 i pół miliona uczniów; na jednego nauczyciela przypada przeciętnie 45, przed 20-tu laty przypadało 60 uczniów.

W Rosyi jest nauczycieli 195 tysięcy, w Niemczech 168 tysięcy, czyli o 27 tysięcy mniej. W Rosyi przypada 1 nauczyciel na 644, w Niemczech na 361, w Anglii na 233 mieszkańców (nauczycieli 177 tysięcy 500). Analfabetów (to jest nie umiejących czytać ani pisać) przypada na 1.000 ludzi w Rosyi 617, Włoszech 315, w Austryi 257, Francyi 40, Belgii 20, Anglii 10, Niemczech 3. W Niemczech uczęszcza do szkoły 68 procent (to jest 68 na 100) dzieci w wieku 5 do 16 lat, w Rosyi tylko 27 prc.

Korespodencya panujących.

Gdyby panujący stosowali się do zwyczajów, które obowiązują zwykłych śmiertelników, i odpowiadali na wszystkie listy, musieliby mieć całe legiony sekretarzy. Najliczniejszą korespondencyę ma Papież, otrzymując dziennie 22 do 25 tysięcy listów, Zatrudnia aż 35 sekretarzy. Cesarz Wilhelm II dostaje po 4 tysiące listów i po 3 do 4 tysięcy gazet dziennie., król angielski 2 do 3 tysięcy.

Cesarz Franciszek Józef daleko mniej.—1.500 zaledwie, królowie hiszpański i włoski jeszcze mniej, bo 300 do 400, królowa holenderska — 150. Prezydentowie Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej — od 1.000 do 1.500 listów i druków. Najmniej przynosi poczta p. Fallièresowi prezydentowi Francyi, bo tylko 50 do 60 listów dziennie.

Podziemna gazeta.

Jaki olbrzymi ruch panuje pod ziemią w Londynie wykazują dowodnie cyfry kolejowe; w ciągu roku 1906 koleje podziemne przewiozły 240 milionów pasażerów. Te podziemia stolicy Anglii mają też swoje stącye telegraficzne, telefoniczne, kawiarnie zakłady fryzyerskie, a od kilku lat i swoją — g a z e t ę.

Pismo to jest przeznaczone wyłącznie dla pasażerów „Londyńskiej podziemnej kolei elektrycznej“, a nosi nazwę „Kret“. Wydawca p. Albert Stanley, w pierwszym numerze objaśnił, że głównym celem pisma jest zapobieżenie wzajemnemu przyglądaniu się pasażerów, które, zwłaszcza dla pań, jest skutkiem położenia siedzeń bardzo niemiłe.

Gazeta wychodzi co sobotę i, pomimo, że nie ma żad ych ogłoszeń, rozdawana jest pasażerom bezpłatnie. Są w niej artykuły, pogadanki, plany Londynu, okolic, kolei żelaznej, drukowana zaś niebieską farbą na białym papierze.

Osobliwe jaszczurki.

W Australii południowej uznane zostały za pożyteczne jaszczurki zwane „Goanna", należące do gatunku „Monitor". Szczególne to stworzenia, mierzące od 6 do 7 stóp długości, odznaczają się nadzwyczajną zwinnością i ruchliwością. Spłoszone przez przechodnia, wdrapują się na drzewa nader szybko i zręcznie, jak wiewiorki.

Mają one bardzo długie ogony, za które łatwo byłoby ściągnąć je z drzew, lecz nikt tego nie czyni przez wzgląd na ich charakter. Sprawdzono, że jaszczurka „Goanna" tępi jadowite węże, stąd też uważane są za nader użyteczne i cieszą się nawet ochroną prawną.

Czego odznaką jest nos?

Nos jest pewną wskazówką charakteru człowieka. Nos gruby jak gruszka należy do ludzi szczęśliwych. Jeżeli nos jest rozdęty, to dowodzi, że jego właściciel jest smakoszem lub salonowcem. Nos orli zdradza odwagę. Nos szeroki u wylotu zdradza uszczypliwość i skłonność do śmiechu. Nos cienki oznacza lękliwość; szerokie dziurki w nosie znamionują zamiłowanie do pracy. Wreszcie nosek pyrkaty, to jest zadarty krzywo do góry jest własnością osób dziwacznych i ekscentryczek.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.